14. kwietnia 1866. Nr. 15. Rok I.

Wychodzi we Lwowie co sobotę, arkusz lub półtora.
Prenumerata w miejscu: 6 zł. 50 ct. rocznie — 3 zł. 25 ct. półrocznie — 1 zł. 65 ct. kwartalnie — 55 ct. miesięcznie.
Numer pojedyńczy kosztuje 15 ct.

TYGODNIK NAUKOWY I LITERACKI.

Zamiejscowa w Austrji: 7 zł. rocznie — 3 zł. 50 ct. półrocznie — 1 zł. 80 ct. kwartalnie — 60 ct. miesięcznie.
Redakcja i administracja pod l. 554²/₄ przy ulicy Szerokiej.
Expedycja i miejscowa prenumerata w księgarni J. Milikowskiego.

Dr. Maksymiljana Müllera
profesora akademji Oksońskiej

Odczyty o umiejętności języka.

Dla polskich czytelników przerobił Bronisław Trzaskowski.

Odczyt trzeci.

Umiejętność języka na stanowisku empirycznem.

Przypatrzmy się teraz historycznemu umiejętności języka rozwojowi na trojakiem stanowisku: empirycznem, klasyfikującem i teoretycznem. We wszystkich naukach przyrodniczych panuje ta ogólna reguła, że od rozbioru poczynają, do klasyfikacji postępują i wreszcie do teorji dochodzą; ale reguła ta ma wiele wyjątków, jakem to w pierwszym odczycie pokazał, i widzimy nieraz, że się w filozoficzne szpekulacje, co właściwie do ostatniego czyli teoretycznego stanowiska należą, o wiele pierwej zapuszczano, nim jeszcze potrzebne dowody pozbierano i ugrupowano. I tak widzimy, że umiejętność języka w jedynych dwóch krajach, gdzie jej początek i dzieje dokładnie śledzić możemy, t. j. w Indji i w Grecji, zaraz się w teorje o tajemniczej języka naturze rzuca i tak mało o fakta troszczy jak ów, co niewidziawszy ani puszczy, ani wielbłąda całą rozprawę o tem zwierzęciu napisał. Brahmanie podnosili w hymnach wedyjskich język do rzędu bóstwa podobnie jak wszystko inne, czego nie pojmowali. I śpiewali pieśni na cześć bóstwa języka, gdzie o niem mówią, że od początku bawiło u bogów działając cuda i tylko w części objawiając się człowiekowi. W brahmanasach nazywa się język krową, dech bykiem, a duch ludzki ma być ich płodem. O Brahmanie, najwyższej istocie, czytamy, że go językiem pojmowano, a nawet sam język nazywa się najwyższym Brahmanem. Lecz bardzo wcześnie wytrzeźwieli Brahmanie z tych nad językiem zachwyceń i wzięli się z dziwną zręcznością do rozcinania świętego ciała języka. Tego, co oni w analizie gramatycznej w 6 przed Chrystusem wieku zdziałali, nie dokazała żadna żadnego narodu gramatyczna literatura. Z myślą sprowadzenia całego języka do szczupłej liczby pierwiastków, którą w Europie dopiero w 16 wieku Henry Estienne powziął, byli Brahmanie już przynajmniej 500 lat przed Chrystusem zupełnie obeznani.

Grecy nie podnosili wprawdzie języka do rzędu bóstwa, oddawali mu atoli w starych filozoficznych szkołych najwyższą cześć. Nie ma może żadnego znakomitszego filozofa greckiego, któryby jakiegoś zdania o istocie języka nie pozostawił. Świat zewnętrzny czyli natura i świat wewnętrzny czyli duch ludzki w największe wprawiał starych mędrców zadziwienie i nie głębsze wydobywał z nich zdania, jak język, obraz obu, natury i ducha. »Co jest język?« — pytanie to postawiono równie wcześnie jak pytanie »Czem jestem?« i »Czem jest świat który mię otacza?« Zadanie językowe było rzeczywiście polem walki, na którem rozmaite starej filozofji szkoły swe siły mierzyły, i przyjdzie nam rzucić okiem na ich prastare o istocie języka ludzkiego domysły, gdy do zastanowienia się nad trzeciem czyli teoretycznem umiejętności języka stanowiskiem przystąpimy.

Ninie mamy iść za wczesnymi ślady pierwszego czyli empirycznego stanowiska. Przedewszystkiem zapytajmy się tutaj, jaką właściwie duchową pracę stanowisku temu wyznaczyć mamy. Co się ma rozumieć pod empirycznem traktowaniem języka? Kto był ów, co dla języka tego dokonał, czego żeglarz dla gwiazd, górnik dla kruszców, ogrodnik dla kwiatów? Kto był pierwszy, co natchnął język myślą? myślą różnicy między jego częściami, między imieniem a czasownikiem, między rodzajnikiem a zaimkiem, między przypadkiem pierwszym a czwartym, między stroną czynną a bierną? Kto wynalazł te wyrazy i w jakim celu?

Odpowiedź na te pytania wymaga wielkiej staranności; albowiem, jakem to już wyżej nadmienił, empiryczną analizę języka poprzedziły w Grecji ogólniejsze nad istotą myśli i mowy badania; a rezultatem ich było to, że wiele technicznych wyrazów, co dziś nomenklaturę epirycznej gramatyki stanowią, w szkołach filozofów już dawno istniało, zanim je gramatyk przyjął i do swoich celów zastosował. Wyróżnianie imienia i czasownika albo raczej podmiotu i orzeczenia było dziełem filozofów. Nawet techniczne wyrazy p r z y p a d e k, l i c z b a, r ó d z a j wymyślono bardzo wcześnie i wprowadzono w świat myśli, a to nastąpiło nie w praktycznym celu analizowania form językowych. To praktyczne ich zastósowanie do języka, którym w Grecji mówiono, było dziełem późniejszej gieneracji. Gramatyk porównywał najprzód kategorje myśli z realnym języka materjałem. On przeniósł terminologję Arystotelesa i Stoików z myśli na język, z loiki na gramatykę i otworzył pierwszą ścieżkę przez nieprzebyty odwieczny las języka. Czyniąc to musiał gramatyk ścisłe znaczenie niektórych z filozfji wziętych wyrazów zmienić a niektóre sam utworzyć, zanim językowe fakta tylko z grubszego pojąć mógł. Albowiem rozróżnianie między imieniem a czasownikiem, między stroną czynną a bierną, między przypadkiem pierwszym a czwartym jeszcze nas w umiejętnej języka analizie nie bardzo daleko zaprowadzi. Jednakowo był to krok pierwszy i bardzo ważny; a jeżeli w dziejach świata imiona tych, co cztery żywioły odkryli, imiona Talesa i Anaksymena z wdzięcznością przechowujemy, to zapewne nie można puszczać w niepamięć imion odkrycieli żywiołów językowych i założycieli jednej z najpożyteczniejszych i najbogatszych gałęzi filozofji — imion pierwszych gramatyków.

Gramatyka w zwykłem słowa tego znaczeniu, czyli formalna tylko i empiryczna analiza języka zawdzięcza więc swój początek jak każda inna umiejętność, całkiem naturalnej i praktycznej potrzebie. Pierwszy praktyczny gramatyk był oraz pierwszym praktycznym nauczycielem języka, a chcąc pierwsze umiejętności języka początki poznać, musimy pierwej rozwiązać pytanie, kiedy w dziejach świata i wśród jakich okoliczności o uczeniu się obcego języka po raz pierwszy pomyślano. Albowiem właśnie w tym czasie a nie pierwej spotykamy pierwszego praktycznego gramatyka. Niezawodnie badania filozofów i krytyczne aleksandryjskich uczonych studja przysposobiły wiele materjału z starych form języka, jakie się w homerowskich pieśniach znajdują, ale reguły o deklinacji i konjugacji, wzorce prawidłowych i nieprawidłowych imion i czasowników, syntaktyczne spostrzeżenia itp. to wszystko jest dziełem jedynie nauczyciela języka.

Aczkolwiek nauka języków obecnie tak daleko się rozszerzyła i tak rozmaicie się odbywa, to przecież jest ona stosunkowo wcale nowym wynalazkiem. Starzy Grecy z bardzo małymi wyjątkami nie myśleli o nauce obcych języków. Bo i po co mieliby myśleć? Dzieląc cały świat na Greków i barbarzyńców uważali za rzecz niegodną przyjmować strój i obyczaje barba-

rzyńskich sąsiadów albo uczyć się ich języka. Grek uważał to za przywilej mówić po grecku, i spoglądał z pogardą nawet na takie narzecza, co z jego językiem blizko spokrewnione były. Wiele potrzeba było czasu, zanim pojęto, że i obcym językiem dobrze wysłowić się można. Polacy nazywali swych giermańskich sąsiadów Niemcami (porówn. niemy), podobnie jak Grecy cudzoziemców *Aglossoi* (bezjęzyczni) i po dziś dzień pozostało przysłowie polskie ›Gadaj do niego, kiedy niemiec‹. Nazwę, którą Giermani swoim celtyckim sąsiadom dali, t. j. *Walh* po starogórnoniemiecku, *Vealh* po anglosasku, dzisiejsze *Welsch* zestawiono z sanskryckiem *wlecha* i ma oznaczać osobę niewyraźnie mówiącą.

Nawet wtenczas, kiedy Grecy konieczność językowych z obcymi narodami stosunków już uznawać zaczęli, gdy zapragnęli uczyć się ich języków, nie rozwiązano jeszcze wcale zadania. Bo i jakże miano się uczyć obcego języka, jak długo każdy tylko swoim władał? Zadanie było niemal tak trudne, jak owo pierwszych rodziców, gdy jeszcze niemi, jak niektórzy utrzymują, zeszli się razem, aby wynaleźć język i naradzać się nad stosownością imion, które swym zmysłowym poglądom i abstrakcjom ducha nadać mieli. Najpierw musieli się Grecy obcych języków uczyć tak, jak się dzieci ojczystego języka uczą. Tłumacze, o których starzy historycy wspominają, byłyto zapewne często dzieci rodziców, co kilku językami mówili. Syn cudzoziemca i Greczynki zwykł się niezawodnie od dzieciństwa ćwiczyć w języku tak ojca jak i matki, a zyskowne usługi tłumaczów zachęciły zapewne niejednego do nauczenia się dwóch języków. Czytamy — naturalnie w cokolwiek mistycznych źródłach — że się Grecy nad rozmaitością języków, jaką podczas wyprawy Argonautów znaleźli, zdumieli, i że się im brak zdolnych tłumaczów mocno dał uczuć. Nie mamy się temu co dziwić, bo armjom angielskim w nowszych czasach nie lepiej się działo, jak towarzyszom Jazona. Rozmaitość języków w kaukazkiej krainie jest tak wielka, że tamtejsi mieszkańcy krainę tę po dziś dzień ›górą języków‹ nazywają. Przenieśmy teraz wzrok swój od tego mistycznego wieku na właściwy historyczny czas Grecji, a zobaczymy, że do rzemiosła tłumaczów handlowe stosunki pierwszy popęd dały. Herodot wspomina (IV. 24.), że karawanom kupców greckich, którzy idąc za Wołgą aż do Uralu dotarli, siedmiu tłumaczów towarzyszyło, co siedmiu rozmaitymi mówili językami. Były to zapewne słowiańskie, tatarskie i fińskie narzecza, któremi w owych okolicach za czasów Herodota podobnie jak dziś jeszcze mówiono. Wojny perskie oswoiły Greków po raz pierwszy z tą myślą, że inne narody także prawdziwymi językami mówią. Temistokles uczył się po persku i miał bardzo płynnie tym językiem mówić. Pochód Aleksandra W. jeszcze się więcej do tego przyczynił, że się Grecy z obcymi narodami i językami obznajomili. Lecz gdy się Aleksander z Brahmanami zapuścił w rozmowę, których wówczas Grecy za stróżów prastarej tajemniczej mądrości uważali, musiano ich odpowiedzi tyle razy z jednego języka na drugi przekładać, że jeden z Brahmanów powiedział, że odpowiedzi te muszą się stać podobne do wody, która przez wiele nieczystych kanałów przechodzi. Czytamy także o jeszcze dawniejszych podróżach greckich, i trudno pojąć, jak w owych czasach mógł ktoś podróżować bez znajomości języka tego ludu, przez którego pola, wsie i miasta przechodzić musiał. Niektóre z tych podróży, a szczególnie te, co aż do Indyj sięgały, są niezawodnie wymysły późniejszych pisarzy. Likurg mógł do Hiszpanji i Afryki podróżować, ale do Indji pewnie nie doszedł; jakoż nie ma nigdzie wzmianki o jego z indyjskimi gimnosofistami stosunkach przed Arystotelesem, który około 100 roku przed Chrystusem żył. Podróże Pitagoresa są także bajeczne; są to wymysły uczonych aleksandryjskich, którzy sądzili, że wszelka mądrość od Wschodu pochodzi. Na lepszych nieco powagach spoczywa przypuszczenie, że Demokryt do Egiptu i Babilonu zaszedł; lecz dalsze jego podróże do Indyj są równie bajeczne. Chociaż Herodot po Egipcie i Persji podróżował, to jednak nigdzie nie wspomina, że oprócz swego innym władał językiem. (C. d. n.)

PAMIĘCI JULJUSZA SŁOWACKIEGO.

Jak wam smutno tu — Boga pamiętni!
Jak ponury ten kraj wasz — wygnania!...
Gdy się Wszechduch w was życiem odtętni,
Gdy natchnienie wam niebo odsłania,
A duch wybiedz chce w to malowidło:
Od słońc proga go zwraca mdłe skrzydło...

Smutno! — smutno z duchowej przeźroczy
Spojrzeć na świat anioła źrenicą —
Gdy natchnienia wiatr Boży, proroczy
Porwie ducha szarpiącą tęsknicą,
Gdy go nieść chce za światy — do Boga —
A tu ziemska wytknięta mu droga!...

Przetoż żywi! — niech was nie przeraża
Hymn żałoby umarłym śpiewany;
On nie płacze, ni śmierć on oskarza,
Przez nią bowiem jest duch rozwiązany,
Przez nią tryumf skończony i chwała
Odniesiona aniołom z mąk ciała!

Dziś tu ujrzym u stóp sarkofagu,
Lutnię niemą... lecz pieśń jej nie zmarła!
Uświęcona swą wieszczą powagą
Nad globami się w straż rozpostarła;
Z prochów wieszcza wykwitły lilije,
Lecz duch jego w tej pieśni nam żyje!

Choć smętniejszy był śpiewak ten Boży
Od was druhy wy ziemscy, wspólsmętni...
Niech wam anioł urn przeszłość otworzy
I ciemność tej pieśni rozpamiętni,
Którą śpiewał ten ducha beduin;
Wskrzeszał światy — dumając wśród ruin!...

O smętniejszy!... z nim życie tułacze,
Kurhan jego z dala ojców chaty,
Nad kurhanem wierzba nie zapłacze,
Ni kalina swe złoży szkarłaty —
Czasem z dali... wspomnienia anioły
Zlecą, ciche ocieniać popioły...

Więc ofiara niech będzie z wspomnienia
Pośmiertnego... Głęboki a cichy,
Niechaj jego wieszczego natchnienia
Kwiat nam pełne odemknie kielichy,
Niech nam balsam i woń swą otworzy,
Otoczonych świętością — odtworzy!

Najpełniejsza ta duchem biesiada!
Najpełniejsza odczuciem natchnienia! —
Święta moc ta, co jako kaskada
Tryska z duchów czystego strumienia,
Potem z niebem na blasku odbitem,
Znów przelewa się duchów korytem.

Pomnik ziemskich aniołów pamięci
Przez tę wspólność i różczkę duchową!
Dawniej ziemscy a dziś wniebowzięci
Bądźcie pieśnią uczczeni echową,
Tą, co wasze ocieniać chce groby,
Wyżsi duchem nad wieki — nad globy!

Lwów, 3 kwietnia 1866. *B. K.*

W KRAJU.

OBRAZEK.

Przez Paulinę z L. Wilkońską.

(Ciąg dalszy.)

III.

Nazajutrz wieczorem przybył pułkownik do siostrzanki. W salonie już było światło, i Eliza radośnie poskoczyła ku niemu — usiedli na *causeuse*'zie i gawędzić poczęli, gdy na raz jeden ozwał się flet w przedpokoju, zawodząc rzewno-cudne nuty polskie.

— Co to? Kto to? — porwała się pani Ratymirska, zapłoniona nagle, z okiem błyszczącem.

— Słuchaj! — i pułkownik przytrzymał ją za rękę. — Jest to biedny chłopiec, Stężyczanin. Spotkałem go dziś na ulicy...., przed niedawnym dopiero czasem kraj pożegnał... i przyprowadziłem go z sobą, by dlań u nas gościnę wyprosić, dopóki mu nie wynajdę zarobku w fabryce której.

— Niechżeż pozostanie z nami!... Och, to nasze piosnki! Nasze, a takie śliczne! — zawołała Eliza, składając dłonie — aż serce skacze, a łzy cisną się do oczów.

I płynęła jedna piosnka po drugiej, w lubej śpiewnej plątaninie — niby serdeczne z ojczyzny wołanie... a raczej boleśna za nią tęsknota. Znać przed oczyma duszy biednego chłopca snuły się ukochanej Wisły brzegi piaszczyste — zielone powiśle — ciemne bory kozienickiej puszczy — mury sieciechowskiego klasztoru — wieża kościelna — wonne łany bujnym pokryte bobem, — i serce stęsknione płakało — i żale swoje w rzewne przelewało nuty.

— Wujaszku, niech on tu wejdzie! — prosiła młoda kobieta głosem stłumionym.

Pułkownik powstał i wprowadził młodego człowieka w lichem odzieniu, z bladością cierpień na licu.

— Biedny! zawrzało na ustach pani Ratymirskiej.

Młody skłonił się nieśmiało; nędza jego spotkała się z blaskiem modnego salonu — i oniemiał.

— Siadaj! — prosiła Eliza, przysuwając mu krzesło. — Oh, i zagraj nam jeszcze!... Ja zawtoruję na fortepianie.

— Oj, to to! — zawołał pułkownik z rozjaśnionem wejrzeniem.

I zadźwiękła tak cudna, sielska piosnka, jaka pewnie nigdy jeszcze o złociste ściany paryskich nie obiła się salonów. A we drzwiach stanęła hoża wiochna — jakoby jej uosobienie — rumiana, bez tchu niemal i złożyła ręce na krzyż przez piersi, a po jej licu łza jedna drugą goniła. Pamięć stęskniona uprzytomniła jej Dąbrowiec — i swoich!

— A co mamusiu? — zapytał pułkownik — nie ślicznaż to muzyka?

— O przenajświętsza! — zawołała kobieta — to iście jakby u nas!... Oj, śpiewalić to na weselu naszem... z Tomkiem! ...Śpiewała matuś Kasiuchnie mojej! — i zasłoniwszy twarz zapaską, szlochając — głośno, do dzieciątka śpiącego uciekła.

Eliza grać przestała — i smutno spojrzała na nią.

— Biedaczka! — poszepnęła — tęskni za mężem i dzieckiem.

— A tęsknota to ból wielki — dodał pułkownik.

Gdy nadszedł Czesław, wniosła Eliza by zaproszonych rodaków także temi swojskiemi uraczyć piosnkami — i mąż chętnie zgodził się na to.

Zaproszeni nadeszli niebawem. Oh! i jakżeż te nuty rozkołysały tęskne ich serca! — Oddawna niesłyszane piosenki, a ukochane jeszcze w dzieciństwie; potem ze starym wojakiem od serca gawędka — otóż to było poczęstne świetniejsze od cesarskich festynów!

— Czy mogę widzieć się z tobą? — zapytał pułkownik przez zapuszczoną portjerę od sypialni pani Ratymirskiej, nazajutrz w rannej godzinie.

— Owszem, wujaszku, wychodzę zaraz! — i ukazała się w ładnym stroju porannym. — Siadajmy wujciu!

— Twój Czesław ma tam u siebie jakiegoś *signore*, a mnie potrzeba pogadanki z wami, ile że już jutro ruszam do Tuluzy.

— Jutro już? Och, tak prędko! — zawołała młoda kobieta, zaciskając dłonie.

— Nie mogę dłużej bawić. Ale, dziewczko moja, mam z tobą do pomówienia słów kilka w interesie nader ważnym.

— Słucham, wujciu! — i siostrzanka pochyliła się z zajęciem ku niemu.

— Przyrzekasz mi wszelako, że o tej całej rozmowie Czesławowi nie wspomnisz!

— Ani słoweńka!

— Ręka?

— Ręka!

— Że się z niczem nie wygadasz?

— Jak mojego kocham Tadzieńka!

— Ufam twojemu słowu. Otóż, powiedz mi, dziecko, kiedyż to myślicie do kraju powrócić? — i pułkownik spojrzał jej w oczy.

— Naprawdę... że nie wiem — odrzekła, lekko skłoniwszy czoło.

— Czy tego nie pragniesz?

— Owszem... ale...

— Może lękasz się życia wiejskiego po salonowem i balowem życiu w Paryżu?

— Bynajmniej! — i młoda kobieta spojrzała się tak pogodnie i szczero na wuja, że aż mu serce z zadowolenia zadrgnęło.

— Nie lękasz się nudów wiejskich?

— Nie, nie! Nudy podobno każdy z sobą przynosi — i zaśmiała się.

— Wieś tyle przyjemności dać może sercu, które za czczemi mamidłami nie goni, i więcej tam prawdziwem żyje się życiem; węzeł rodzinny ścieśnia się szczerzej; żyje się wśród piękna natury, a prostota obyczajów nieokreśloną przejmuje błogością. Potrzeba wszelako duszy po temu... a myślę że ją ma Elżbieta moja!

— O, wujaszku! Ja lubię ogrody, lasy, pola, łąki! Lubię pomodlić się w wiejskim kościółku. Lubię dziewczęta wiejskie... ach, i te nasze prześliczne piosenki!

— Wierzaj mi, dziecko, że w Dąbrowcu jeszcze szczęśliwszą będziesz, przy twoim Czesławie i Tadziu i będziecie się kochali więcej!... A jeszcze, Elciu, ten pobyt za granicą, tak długi, to zakała prawdziwa.... a jakie następstwa! — dodał ciszej.

— Następstwa?! — i spojrzała się na niego zdziwiona.

— Tak... jakie skutki za sobą pociągnie?

— Mój wujaszku!

— Czesław tobie oczewiście tego nie powie.

— Cóż takiego?... co takiego? — i wyraz obawy przebiegł ładne jej rysy.

— Czesław przemilczy, by tobie przykrości nie sprawić, ale ja mówić wolę.

— Mów wujaszek! Powiedz mi wszystko! i błagalnie ku niemu dłonie złożone podniosła.

— Pobyt wasz w Paryżu i podróże ogromne kosztują sumy, o jakich ty wyobrażenia nie masz i mieć nie możesz; dochody na to nie starczą, i Czesław będzie zniewolonym swój Żołędzin sprzedać.

— Żołędzin sprzedać! — porwała się Eliza z przerażeniem.

— Tak jest.

*

— Czesław tak jest przywiązanym do tej wioski po rodzicach swoich! — i miała łzy w oczach.

Ha! zmusi go do tego konieczność. On tai przed tobą wszystko, ale jego cały niemal majątek już poszedł z dymem, pochłonął go Paryż. Twój pozostał dotąd nietknięty...

— Och Boże! Och, mój Boże! A czyliż to co jest mojem, nie jest i Czesława własnością?

— W to nie wchodzę. Ale Żołędzin, ojcowizna Czesława pękła.

— Mój Boże! Biedny Czesław! Ależ to jest okropnie!... Myśmy przecie nie zbytkowali! — i załamała dłonie, smutno pokręcając głową.

— Ha!... W ten sposób zatracają się majątki, a ziemię kupują obcy... Ojczyznę z dniem każdym nieoględnie własne ćwiertują syny.

— Prawda!... Och prawda! Potrzeba nam wracać! Wracać co rychlej!... Ale Czesław!

— Sądzisz że on tak bardzo przylgnął do tego życia próżniaczego salonów i uciech zbytkownych?

— Och nie! Nie nie! — zawołała z ożywieniem, klasnąwszy w dłonie. — Mój Czesław taki jest poczciwy, szlachetny!

— On raczej przypuszczał, że tobie powrotem do domu przykrość sprawi.

— Bynajmniej! bynajmniej! Wracajmyż choćby dziś!

— Czesław oddawna czuł potrzebę powrotu, ale nie chciał być pierwszym, który to słowo wyrzecze i sądził, żeś ty za nadto w tem życiu zasmakowała, a twoim jest majątek i wola...

— Och! — wzdrygnęła się młoda kobieta — jam żona, Czesław mąż; wola nasza wspólna... On kierować winien — dodała ciszej, pochylając głowę.

— Błogosławię ci za to słowo! — zawołał z rozczuleniem pułkownik i pocałował ją w czoło. — Chwała Bogu, ciebie dotąd Paryż nie zepsuł!... Znać dobrą położono zasadę — domówił ciszej. — Więc wracacie?

— Jutro zaraz pomówię z Czesiem, a w końcu marca już nas tu nie będzie, i uśmiechnęła się wesoło, ściskając w drobnych dłoniach swoich, rękę poczciwego wujaszka.

— Aż mi lżej na sercu!... Ale, dziewczyno, nic o rozmowie naszej nie wspomnij mężowi, powtarzam!

— Nie, nie, wujaszku!... Słyszę drzwi od jego pokoju.

— Może *signore* już odszedł.

W chwili potem wszedł Czesław do pokoju.

Nazajutrz pułkownik odjechał.

W drugiej połowie marca stała opakowana kareta przed mieszkaniem państwa Ratymirskich, by ich zawieść do dworca kolei żelaznej — bo do kraju wracali.

Rozweselone lica mamusi błyszczały szczęściem. Pomiędzy żegnającymi podróżnych stał także młody Stężycanin, blady i smutny i biedakowi łzy kręciły się w oczach — bo radby był z jaskółkami polecieć. (D. n.)

Sprawa polska na kongresie wiedeńskim

przez

Bronisława Zamorskiego.

(Ciąg dalszy.)

II.

Szczęśliwym, sprytnym i konsekwentnym w podstępach był car względem Polaków, i przyznać mu trzeba, że umiał korzystać z okoliczności. Jako zwycięzca Napoleona stanął on oczywiście w Europie najwyżej; jako wspaniałomyślny monarcha chcący odbudowania Polski — wydawał się ogółowi polskiemu po upadku Napoleona najgodniejszym zaufania z panujących. Nie umiano, albo też nie chciano się wtedy poznać na tem, że car łudził Polskę czczemi obietnicami, aby ją tem dogodniej i łatwiej utrzymać w swojem poddaństwie. Car chciał tak ze strony mocarstw, jakoteż i narodu polskiego być zabezpieczonym co do posiadania zabranych części z księstwa Warszawskiego. Dla tego najpierw poczynił odpowiednie układy z mocarstwami ościennemi, jak układ w Kaliszu r. 1813 z Prusami oddający tym Wielkopolskę i powtórzenie tegoż w Reichenbach; traktat Cieplicki z dnia 9. września 1713 r., który gwarantował Austrji posiadanie ziem w Polsce nabytych i zarazem oddawał los księstwa Warszawskiego polubownemu układowi trzech mocarstw rozbiorczych: Austrji, Prus i Moskwy. Traktat paryski 30. maja 1814. zawarty z Burbonem Ludwikiem XVIII. powróconym na tron, zastrzegał za wpływem cara mocarstwom sprzymierzonym: Austrji, Prusom, Moskwie i Anglji dowolne rozporządzenie ziemiami i krajami zdobytemi na Napoleonie bez mięszania się w to Francji *.) Przez to zabezpieczył sobie car wolność działania co do Polski. Łatwowiernych Polaków utrzymywał sam i przez swoich zwolenników: Czartoryskiego Adama, Lubeckiego i Ogińskiego i innych, w ciągłej nadziei najświetniejszej przyszłości i jednał tem sobie ich życzliwość — a zarazem, dla bezpieczeństwa, rządy w Polsce obsadzał Moskalami, liczną załogę moskiewską trzymał w ziemiach polskich, i wojska polskie oddał pod okropną opiekę carewicza Konstantego. Do wierzących we wspaniałomyślność cara Aleksandra względem Polski miał należeć i były naczelnik narodu Tadeusz Kościuszko za wpływem księcia Adama Czartoryskiego z którym Kościuszko sympatyzował. Starano się zjednać Kościuszkę w tym celu, aby car, prócz partji legitymistycznej czyli moskiewskiej, miał za sobą i ludzi postępowych w Polsce którzy widzieli ideał republikanina czystej krwi w naczelniku Kościuszce, i byli gotowi zwrócić się w tę stronę, w którą się ten przechyli.

Kościuszko, bohater ale nie polityk, miał w sobie tę wadę jedyną, że zawierzał zanadto Czartoryskim i trzymał się w swych działaniach rady, i że tak rzekę — woli tychże; toż samo czynił Niemcewicz, który pomimo niewoli moskiewskiej przebytej wraz z Kościuszką, pomimo że przy jego boku walczył w obronie ojczyzny, i że był zasad najbardziej wolnomyślnych — miał przecież szczególniejszą rewerencję dla Czartoryskich, i ich polityką się ślepo kierował. Otóż wolą było księcia jenerała ziem podolskich i księcia Adama, ministra carskiego, aby Kościuszko nie służył Napoleonowi, i tak się stało istotnie. Kościuszko oświadczył Napoleonowi, »że Polska nie potrzebuje despotyzmu na despotyzm«, i pomimo że ten go żandarmami chciał zmusić do wmięszania się w wojnę przeciw Moskwie — Kościuszko uparł się przy swojem i został w Szwajcarji **). Gdy przeciwnie car potrzebował tylko za wpływem księcia Adama Czartoryskiego wyrazić proste życzenie że pragnie się widzieć z Kościuszką, aby tenże napisał do niego list pełen adoracji pod d. 9 kwietnia 1814 opiewający następnie:

»Najjaśniejszy Panie! Jeżeli śmiem ze skromnego zacisza mego zanosić prośbę do wielkiego monarchy, wielkiego wojownika, a nadewszystko opiekuna ludzkości — czynię to dla tego, iż mi jego szlachetność i wspaniałomyślność dostatecznie są znane. Żądam od Waszej Cesarskiej Mości trzech łask: pierwszej, aby Polakom udzieloną została amnestja powszechna bez najmniejszego wyjątku, i aby chłopi za granicą rozprószeni, uważani byli za wolnych, skoro w domowe progi powrócą, drugiej, abyś W. C. Mość ogłosił się królem Polskim z konstytucją wolną do angielskiej zbliżoną; abyś kazał założyć kosztem rządu szkółki dla włościan; aby niewola tych ostatnich zniesioną była w przeciągu lat dziesięciu, i aby posiadali własność ***). Jeśli me prośby

---

*) *Louis br. Bignon. „Les Cabinets et les Peuples. Paris 1834. vol. I.“*

**) Polska odradzająca się Joachima Lelewela. Poznań 1856. „Stan polityczny księstwa Warszawskiego w r. 1812„ „w Tygodniku Naukowym.“ Lwów 1865.

***) W liście tym prosi Kościuszko o wolność chłopów co Napoleon w księst. Warszawskim r. 1807. na Litwie 1812 uczynił.

wysłuchane zostaną, pójdę osobiście, acz słaby, rzucić się do stóp W. C. Mości, by mu podziękować i pierwszy oddać hołd memu monarsze. Gdyby słabe zdolności moje mogły być jeszcze użyteczne, pojechałbym natychmiast połączyć się z braćmi, by służyć mej ojczyźnie i memu królowi poczciwie i wiernie. Trzecia prośba, Najjaśniejszy Panie! acz prywatna, obchodzi żywo moje serce i moją czułość. Od lat 14 przemieszkuję w domu czcigodnego p. Zeltner Szwajcara, niegdyś ambasadora swego kraju we Francji. Zaciągnąłem względem niego wielki dług wdzięczności, ale obadwa jesteśmy ubodzy, i on ma liczną rodzinę. Upraszam dla niego o przyzwoity urząd, bądź w nowym rządzie francuskim, bądź w Polsce. Jest człowiekiem światłym, a za wierność mogę zaręczyć. Zostaję i t. d. Kościuszko.»

Ten list najznakomitszego bohatera wolności polskiej, poniża, że nie powiemy plami ukochanego i uwielbianego przez Polaków i przez cały świat cywilizowany Kościuszkę. Tłumaczy się to tem, że Kościuszko polegał w rzeczach polityki na zdaniu k. Adama. Był to jednakże w każdym razie wielki błąd z jego strony. Kościuszko naprawił wprawdzie ten błąd odstępując cara po skończonych układach na kongresie wiedeńskim; ale bądź co bądź, podał on carowi przez swój list potężną broń do ręki, bo car przy targach o Polskę zasłaniał się osobą jego, a tem samem poniewierał jego sławę. Trzebaż mu było na schyłku życia zaznać przykrego przeświadczenia, że się dał oszukać moskiewskiemu despocie, a zarazem mimo wiedzy przyczynił się do nowej Targowicy? Trzebaż mu było przyjaźnić się z despotą carem Aleksandrem, kiedy nie chciał poprzód przyjaźni z despotą Napoleonem?... Smutny to zaprawdę wypadek w dziejach Polski porozbiorowej, że taki bohater jakim był Kościuszko, mógł się dać złudzić i być użytym za sprężynę polityki wstecznej, ale nie można tego niczemu innemu przypisać, jak właśnie tylko czystości charakteru Kościuszki, który się nie poznał na obłudzie i podstępach tych, którzy go za narzędzie używali. Zaprawdę Kościuszko pozostał w opinji narodu zarówno czystym i niepokalanym jakim był przedtem, nim go użył Czartoryski Adam za sprężynę w widokach swoich. Zostać oszukanym nie jest zbrodnią, bo nie oszukany ale oszukujący ją popełnia. Uznał to naród, a Kościuszko ucierpiał na tem tylko w swojem własnem przeświadczeniu. Naród zachował dla niego szacunek i miłość jednaką do ostatka, jak świadczy mogiła Kościuszki usypana przez tysiące rąk ludzkich pod Krakowem i powszechne uwielbienie tego męża bohatera jakiego używa w całym narodzie Polskim i u wszystkich narodów cywilizowanych świata, wszystkich stronnictw jakichkolwiek wyznań politycznych. Inaczej ma się rzecz z księciem Adamem Czartoryskim. Miał on stronnictwo swoje póki żył, ale było to raczej koterja ludzi osobiście przywiązanych do niego, albo złączonych z nim już to interesem, już związkiem familijnym. Po śmierci jego zgasło stronnictwo i wątpimy aby w dzisiejszych czasach udało się komu, jak księciu Adamowi w r. 1831 dla samej tylko znakomitości rodowego imienia zostać naczelnikiem rządu. Zdaje się, że opinja publiczna dzisiejszego pokolenia nauczona doświadczeniem, nie poparłaby już takiego k. Adama lub Wielopolskiego. Car dyplomata umiał uderzyć w słabą stronę uczuć Kościuszki, i czekał z odpowiedzią na list tegoż do dnia 3. maja 1814 roku, t. j. do dnia rocznicy uchwalenia ustawy 3 maja 1791 w której obronie walczył Kościuszko. Kościuszko uważał dzień 3. maja każdego roku zawsze za wielkie święto narodowe, chociaż pisząc do cara unikał wspomnienia tegoż. Car niezrównany w fałszu, tak odpisał bohaterowi polskiemu:

»Paryż 3. maja 1814. Z największem ukontentowaniem odpowiadam na twój list Jenerale. Przy pomocy Wszechmocnego, mam nadzieję przywieść do skutku odrodzenie walecznego i szlachetnego narodu, do którego należysz. Przyrzekłem to uroczyście, i jego szczęście było zawsze przedmiotem mych myśli. Same tylko okoliczności polityczne, stały na przeszkodzie w spełnieniu moich zamiarów. Przeszkoda ta znikła. Zniweczyły ją dwa lata okropnej lecz chwalebnej walki. Jeszcze cokolwiek czasu i umiarkowania, a Polacy odzyskają ojczyznę, imię, a ja zaś będę miał przyjemność przekonać ich, że przy zapomnieniu przeszłości, ten, którego mieli za nieprzyjaciela, spełni ich życzenia. O jakże mi miło będzie Jenerale, widzieć cię mym pomocnikiem w tak zbawiennych pracach! Twoje imię, twój charakter, twoje talenta, będą moją najlepszą podporą. Przyjm Jenerale zapewnienie prawdziwego mego szacunku. — Aleksander.»

Zapewne sam car najlepiej wiedział, co w tym liście popisał, Kościuszko zdaje się nie bardzo był mądrym z tego listu — ale kiedy car podchwycił ofiarowanie się Kościuszki z usługami, Kościuszko otrzymawszy podchlebną zresztą odpowiedź od cara, nie mógł się cofać już, i na oznaczony termin kongresu zjechał do Wiednia w celu wspierania cara swą radą, »imieniem, charakterem, talentem.»

Tymczasem wojska polskie pod wpływem nowych demoralizujących wrażeń wracały częściowo do Polski. Dnia 7 czerwca 1814. wszedł Dąbrowski do Warszawy, przyjmowany z wielką okazałością przez władze, ludność i t. d. Znów były iluminacje, bankiety, mowy; a w tem wszystkiem nieszczędzono kadzidła dla cara, uważanego za zbawcę i ojca narodu polskiego. Nikt się wtedy nie dziwił zmienności uczuć, niekonsekwencji i słabości w politycznych działaniach. Przed laty kilku Napoleonowi i Frydrykowi Augustowi wyprawiono festyny — obecnie carowi zwycięzcy. W tym samym prawie czasie z temi samemi owacjami wszedł Piotrowski do Poznania, a 25 kwietnia Krasiński Wincenty, który jako wódz wojska polskiego, złożył swój urząd niebawem w ręce carewicza. Tymczasem kongres, który pierwotnie miał się zebrać w lipcu 1814, został ku wielkiemu zapewne zadowoleniu cara odroczony do września. Przyczyną tego było, że pokątne targi o kraje i trony nie były jeszcze ukończone jak należy; zresztą nie było czasu, bo miały się wyprawiać świetne uroczystości w skutek odniesionego zwycięztwa nad strasznym wrogiem prawowitych rządów w Prusiech i w Moskwie. W skutek tego odjechał car Aleksander do Moskwy a Fryderyk Wilhelm do Prus. Korzystając z odroczenia kongresu ponowiły Moskwa i Prusy układ między sobą i postanowiły przedłożyć kongresowi plan następujący:

1) Prusy otrzymują tytułem kosztów wojennych jako wynagrodzenie posiadłości niegdyś króla saskiego Fryderyka Augusta, który ma być pozbawiony wszelkich praw do korony jako zdrajca Niemiec. Cesarz Aleksander z góry na to przyzwolenie swoje daje.

2) Ponieważ sobie Polacy tego od dawna życzyli i życzą, więc królestwo Polskie z przyłączeniem Galicji lub bez tej, w dawnych granicach ma przypaść carowi Aleksandrowi w posiadanie, i skonfederowane ma być na zawsze z carstwem moskiewskiem. Król pruski Frydryk Wilhelm z góry na to przyzwolenie swoje daje.

Dopiero gdyby tego projektu w żaden sposób przeprowadzić nie było można, postanowili car Aleksander i król pruski przywieść koniecznie do skutku układ kaliski, oddający Prusom Wielkopolskę, a resztę księstwa Warszawskiego Moskwie.

W takiem stadium więc stała sprawa polska przed rozpoczęciem kongresu. Przyszłość jej widocznie najsmutniejsza; pomimo tego był czas, że nawet w ciągu kongresu wiedeńskiego, który tak smutną rolę odgrywa w dziejach Europy, zacięty spór wiodły z sobą mocarstwa o Polskę i dla tego głównie tylko pod tym względem tok sprawy rozważyć należy, bo zresztą ustanowienia kongresu, jako podyktowane mocarstwom przez cara — nie mają znaczenia. (D. c. n)

Żywot i pisma Karola Balińskiego.

III.

(Ciąg dalszy.)

W pierwszych latach pobytu w Paryżu poznał się Baliński z Różyckim, Goszczyńskim i Nabielakiem. Wspólność zdań połączyła go z nimi węzłem najściślejszej przyjaźni. Kładziemy tu nacisk na wyraz wspólność zdań, gdyż Karol wcale nie przyswoił sobie na emigracji zdań nowych, jeno rozwinął te, jakiemi się już w kraju kierował. Bo jak częścią już wiemy, częścią zaś

wkrótce zobaczymy, redaktor ›Krzyża a Miecza‹ zapatrywał się taksamo jak śpiewak ›Hasła‹ i autor ›Głosu.‹ Ludzi tych wraz z ich przyjaciółmi zwano Towiańczykami, ich zaś samych nic bardziej nad to przezwisko nie gniewało, gdyż występując w imię zasad, o których mniemali, że są dla kraju zbawienne, nie chcieli być stawiani na równi z ludźmi partji lub sekty. O istotnym stosunku ich do Towiańskiego jak i o całej tej sprawie pewnych danych nie mamy i dla tego kwestji tej choć bardzo ważnej rozbierać nie chcemy. Co do osoby Karola tyle możemy podług tego, co sam o sobie pisał i mówił i co sami słyszeliśmy, zanotować: Samego Towiańskiego wysoko cenił dla przymiotów, jakie w nim dostrzegał: twierdził jednakże przytem, że zdania swe nie dla tego wyznawał, iż je dzielił Towiański, ale dla tego, iż je uważał za prawdę przed Bogiem i sumieniem. Zresztą i tam, gdzie Towiańskiego zapatrywanie się za swoje przyjmował, zważał tylko na treść nauki a nie na tego, kto ją podawał, bo prawdę przyjąć trzeba ktokolwiek ją podaje, ›czy on Towiańskim, czy Kopernikiem, czy Maćkiem, Bartkiem a nawet Ickiem czy Jankielem zwie się.‹ Mamy pod ręką w ten sposób rzecz tę przedstawiające a nader ciekawe listy Balińskiego ale ich żadną miarą drukować jeszcze nie możemy. Dosyć na tem: w imieniu owych to współwyznawców idei chrześcijańskiej miłości i prawdy przemawiał Karol w ›Bratniem Słowie‹.

Nie od rzeczy będzie tu może przytoczyć ustęp o miłości w zastósowaniu do społeczeństwa z listu z dnia 30. października 1858 r.:

Otóż mój drogi miłość moja szczera i prawdziwa ku tobie nadaje mi prawo przypomnąć ci, że wiara i nadzieja niedostateczną już jest dziś dla Polaka, bez miłości dla wszystkich. Tyle lat grobowego życia powinny już były nauczyć nas, czem jest Polska, czem była, czem upadła — a z tego poznania wynika koniecznie: czem ożyje. Otóż urodziła się chrztem św., to jest przyjęciem słowa Bożego za jedyne prawo swoje w życiu prywatnem i publicznem. Najwyżej uzdolniona do pełnienia życiem swojem tego Bożego prawa, stała się od chwili urodzin Matką w rodzinie narodów, ich przez miłość przewodniczką ku Bogu. I przez tęż samą miłość pociągała wszystko ku sobie, zaślubiała z sobą, podnosiła, napełniała duchem swoim. Tak rosła i potężniała póki nie zaczęła nienawidzić. Nienawiść zmieniła ją z matki w tyrankę, w gwałcicielkę Bożego prawa miłości — a nareszcie w niewolnicę.

Tylko powrót do obowiązków na chrzcie św. przyjętych, tylko powrót do miłości może ją zbawić — i zbawi. Nam dziś niewolno nienawidzić nikogo, nawet wrogów — bo prawem naszem jedynem jest słowo Boże — nie wolno nam płacić złem za złe. Musimy kochać wszystkich ludzi, a nienawidzieć tylko czyny i myśli podłe, przeciwne Bogu. Miłość prawdziwa niczem innem nie jest, jeno wskazywaniem drogi ku Bogu przez własne życie, własnym wzorem. To było posłannictwo Polski — to jest dziś nasze. Nic innego nie zbawi nas. Wypróbowaliśmy już wszystkich manowców — to nasza jedyna droga. Przez miłość dla Polski, przez miłość dla samych siebie musimy wszystkich miłować, a tylko brzydzić czynami złemi tak u drugich jak u siebie samych. — Kto jest wiernym Bogu i Polsce, musi być wiernym i wrogowi nawet, to jest musi mu służyć w drodze do Boga, musi mu pomagać, musi mu być jak matka dziecku przewodnikiem i wzorem*).

Był czas, kiedy nienawiść ku ludziom pewnym chroniła nas od zguby, jak trucizna w pewnych chorobach chroni od zgonu. Ale biada narodowi równie jak człowiekowi, któryby chciał żyć trucizną zamiast chleba. Tak zginął naród Izraela, gdy iść nie chciał z nienawiści do miłości, jak go wzywał Zbawiciel.

Bracie mój! Orła i to jeszcze białego orła wzięli za herb ojcowie nasi, a nie żmiję, nie padalca. Niech gady żyją jadem, nienawiścią, niech pełzają po brudach i śmieciach, lecz orlętom białym nie można żyć gdzieindziej jeno wysoko — w słońcu miłości i prawdy — po nad wszystkie plugastwa i fałsze.

Drugi w tej samej materji z dnia 18. kwietnia 1859:

Mój drogi! Bóg na kata, na biczownika nikogo nie powołuje. Kto katem jest, jest nim z własnej woli a wbrew Bożej. Kat katem jest a nie ojcem. Nie chcieliśmy słuchać ojca, oddał nas tym do których samiśmy szli, którym roli katowskiej pozazdrościliśmy i zaczęliśmy ją na piękne pełnić nad własnym bratem — ludem — ba! i pełniliśmy ją przez tyle wieków! a i dziś jeszcze po tylu chłostach patrz co robi szlachta nasza pod carem!*) nie chce uwolnić się od roli kata, tak w niej zasmakowała! strach! Żądać od kata, aby był wzorem katowanemu — jest to, przyznaj sam, wielki nonsens. Cała rzecz jest w tych słowach: Powołaniem Polski było i jest: miłość — wolność — prawda. Tem powinniśmy byli żyć i to wszystkim dawać. Nie chcieliśmy i przez to upadliśmy. Czyńmyż teraz w niewoli to, czegoć nie chcieli robić w wolności. Kochajmy prawdę, pełńmy prawdę, a tem przebłagamy Ojca, który jedynie mocen jest odebrać nas z rąk biczujących. Nie z niemi, ale z Ojcem w niebiesiech mamy sprawę. Nie od ich łaski, ale od Boga wszystko nasze zależy. Nienawidźmy katowstwa równie w nich jak w nas samych, ale czyńmy co w naszej mocy jest, aby im dopomódz do obrzydzenia tej roli — litujmy się nad nimi, boć zaprawdę stokroć oni od nas biedniejsi.

Nareszcie z dnia 30 września 1862:

Na twoją filipikę Olesiu, żydowską, tyle tylko jestem w stanie powiedzieć, że nie mielibyśmy tej plagi hebrajskiej, gdybyśmy na nią nie zasłużyli; że ani zmażemy te grzechy nasze narodowe, ani zwyciężym nieprzyjaciół naszych złością, zaciętością, szyderstwem, pogardą— ale jedynie prawdą, to jest pokorą i uznaniem win naszych przed Bogiem, poprawą — a więc miłością i sprawiedliwością. Nie zachęcam cię wcale do ustąpienia praw twoich, bo to właśnie byłoby niesprawiedliwością — ale jeno zachęcam do wyrzucenia z serca twego nienawiści i pogardy do żyda. Musim się podnieść, aby wszystkich i wszystko w około nas podnieść wraz z grobowem wiekiem, którem nas własne nasze grzechy przywaliły.

W roku 1858 wydał Baliński przekład dramatu Kalderona ›Kochankowie nieba‹. Co mu podało myśl tej pracy, tak opisuje w liście z dnia 22. maja 1858 r.:

Oto Goszczyńskiemu wpadł w rękę pewien dramat po włosku pisany, bezimiennego autora. Uderzony rzeczą, rozpowiada ją mnie i Nabielakowi. Nabielak po treści domyśla się od razu, co zacz jest, bo długi czas inżynierując w Hiszpanji, obeznał się dobrze z tamtejszą literaturą. Powiada tedy, że Włoch okradł Kalderona. Jakoż pokazuje nam dramat ten w oryginale, zapala nas i doprowadza do tego, że postanawiamy spolszczyć najpotężniejsze tego potentata utwory. Tak tedy Kalderon zstąpił pomiędzy nas. Zaczęliśmy znosić się częściej w tym przedmiocie i odczytywać sobie nawzajem wykończone w przekładzie sceny...

Aby już raz skończyć z Kalderonem a przejść do nas samych, to tylko dodam, że jeden z jego dramatów najważniejszych, który na mnie przypadł, przełożyłem już na polskie i już od miesiąca drukuję w Poznaniu.

To równie jak i ogólny tytuł na pierwszej kartce: ›Wybór dzieł Kalderona. Tom I.‹ każą wnioskować, że był zamiar spol-

*) Dla dokładnego zrozumienia, jak Baliński pojmował wierność, domieszczam wyimek z przedmowy do przekładu dramatu „Kochankowie nieba“: Co do niniejszego przekładu, to tylko rzec mogę, że usiłowałem być jak najwierniejszym. Gdy jednak ona przezacna Rejów, Kochanowskich, Pawęzkich, Birkowskich i Potockich mowa tak dziś przewrócona, tak znaczenie odwiecznych wyrazów przekrzywione wewnętrznie, jak to już spostrzegł z boleścią nieodżałowany Brodziński, mówiąc: „wiele dziś rzeczy noszą zmienne nazwiska“, a to tak dalece, że prawda fałszem, siła słabością, mądrość głupstwem, rzeczywistość marzeniem się nazywa i odwrotnie, zmuszony więc jestem wytłumaczyć się pokrótce, jak pojmuję znaczenie wyrazu wierność.

Nie masz wierności bez miłości, a obie wypływają z wiary. Taka wierność jaka miłość, takie obie jako wiara. Jedna jest prawdziwa wiara, jak mówi Paweł św., jedna więc tylko prawdziwa miłość i wierność, to jest chrześcijańska. Miłość chrześcijańska jest to gorące pragnienie dobra dla bliźniego, pragnienie zbawienia dla duszy jego jak dla naszej własnej; wierność więc chrześcijańska, wierność prawdziwa, jest to służenie bliźniemu w wolności i miłości prawdziwej, jest to praca dla jego zbawienia jak dla naszego; jest to wytykanie mu drogi do tegoż zbawienia słowem i własnym przykładem; jest to wykazywanie mu wszystkiego, co się temuż celowi sprzeciwia, a wykazywanie w sposób najmiłościwszy, jako prawdziwa matka czyni z dziecięciem, choćby przez to przyszło cierpieć prześladowanie od tegoż bliźniego, a nawet od świata całego. Wszelka inna wierność jak wszelka inna miłość jest fałszywą, jest pogańską. — Wybór dzieł Kalderona. Tom I. Poznań u Żupańskiego 1858.

*) Przypominamy, że to było pisane w r. 1859.

szczania wielu innych jeszcze dzieł hiszpańskiego poety, ale tylko ten jeden przekład drukiem ogłoszony został, inne zaś albo jeszcze nie wykończone albo w tekach spoczywają. Nad dramatem tym wcale zatrzymywać się dłużej nie mamy potrzeby, nadmienimy tylko, że Kalderon był jednym z najbardziej ulubionych przez Karola pisarzy. Znać łączyło ich wielkie pokrewieństwo ducha. Drugim podobnie, a może i bardziej jeszcze cenionym był Wacław Potocki, śpiewak wojny chocimskiej, herbów i Argienidy; wspominamy o tem tu bo nie wiemy, czy gdzieindziej nadarzy się sposobność. Z przedmowy do »Kochanków nieba« przytoczymy ustęp, malujący dokładnie, jak się Karol na poezję zapatrywał:

»Jeżeli to kogo zadziwi, że nad dramatem, nad dziełem literackiem zatrzymuję się tak poważnie, przypisując słowu tak wysokie znaczenie, powiem: że czas już i wielki czas, aby literatura, aby słowo każde a tem bardziej słowo do narodu, przestało być czczą igraszką: czas już, aby powróciło do prawdziwego swego znaczenia i powołania. Czas już i wielki czas, aby chrześcijaństwo przeszło we wszystkie czynności nasze, a więc i do literatury i do krytyki, wszędzie zgoła. Czas już, aby nawet zabawa stała się chrześcijańską, to jest aby była ochłodą, orzeźwieniem, wytchnięciem chwilowem na tej drodze podgórnej, która się życiem nazywa, ale nigdy zboczeniem, nigdy zniżeniem.

Takie pojęcia rzeczy nie podobają się zapewne tym, którzy chcą sztuki dla sztuki, ależ to nie dla nich pisał Kalderon takie dramata jak dzisiejszy; dla nich to pisał on te wszystkie, które później chciał spalić, ale już było za późno.« (C. d. n.)

Korespondencje.

Paryż dnia 6 kwietnia 1866.

(Wykłady uniwersyteckie. — Adjunkci, profesorowie, dziekani. — Publiczne wieczorne odczyty w Sorbonie. — Al. Chodźko. — L. Wołowski. — X. Gałęzowski. — Szkoła wyższa polska. — Fr. Duchiński, Alexandrowicz, Siwiński, Niewęgłowski.—Szkoła Batiniolska.)

W dalszym ciągu poprzedniego listu mojego przystępuję do wiadomości o wykładach.

Jeżeli Francja posiada dobrych profesorów, zawdzięcza to stosownym przepisom prawnym, które wymagają doskonałego usposobienia się w wymowie wprzódy, zanim do wykładania przedmiotu na uniwersytecie dopuszczą. Dla otrzymania stopnia adjunkta na którymkolwiek wydziale potrzeba być doktorem odpowiednich nauk, mieć lat 25, być Francuzem i zdać konkursowy egzamin na adjunkta, ten ostatni warunek nie jest łatwym, gdy zważymy, że współubiegających się zawsze jest znaczna liczba. Adjunkt nie wykłada żadnego przedmiotu, chyba w zastępstwie profesora, lecz obowiązany jest prywatnie miewać publiczne odczyty, choćby na nie nikt nie przychodził, wprost dla wprawy w wymowie. Na adjunktów postępują najczęściej nauczyciele liceów. Ażeby zostać profesorem, potrzeba poprzednie warunki przebyć, być wybranym przez fakultet, uniwersytet albo ministra i potwierdzonym przez cesarza; ten ostatni zresztą warunek wątpię, aby mógł wpłynąć na dobroć profesorów. Dziekanem wydziału lekarskiego jest znany chemik *Würtz*, prawa *Pellah*, nauk ścisłych *Milne Edwards*, literackiego *Patin*, teologicznego biskup *Sura*. Wice-rektorem akademji paryskiej jest p. *Mourrier*, rektorem zaś uważa się minister oświaty p. *Durui*.

W Sorbonie dwa razy na tydzień odbywają się wieczorne publiczne odczyty, w których przyjmują udział tak profesorowie jak i nauczyciele liceów, za przedmiot odczytów służą materje z rozmaitych nauk i literatury, najczęściej w jednym odczycie profesor obejmuje całą rzecz, do wyłożenia której przystąpił. W bieżącym półroczu na ogół odczytów tych będzie 22 — większa ich część znajduje zamieszczenie w pismach, których tu dwa wychodzi: 1) *Cours scientifiques*, 2) *Cours litteraires;* pisma te (tygodniowe) zawierają same tylko odczyty, ale z rozmaitych uniwersytetów nadsyłane. Wysoka cena nie przeszkadza mieć licznych prenumeratorów, a liczba prenumeratorów daje możność redakcjom zgromadzać w jeden szereg prawdziwie najwznioślejsze myśli cywilizowanego świata. Wspominamy o tych pismach dla tego, że „Tygodnik naukowy i literacki“ wchodzi na tę drogę i już kilka znakomitych odczytów uprzystępnił szerszemu kołu czytelników.

Wypadałoby w liście dzisiejszym powiedzieć cokolwiek o szkołach w których odczyty są publiczne, lecz że przedmiot jest zbyt ważny, aby go kilku słowy zbywać, odkładamy go na później, zwracając teraz uwagę na wykładających w nich Polaków. Jakkolwiek prawo zabrania cudzoziemcom ubiegania się o katedry, zdarzają się jednak wyjątki w tych razach, gdy tego zajdzie nieodbita potrzeba. Francuzi znajdują profesorów na wykłady języków chińskiego, japońskiego, sanskrytu itd. ale mają trudność wyszukania pomiędzy sobą uczonego, któryby jednocześnie znał języki i literaturę ludów słowiańskich. Zajmowana niegdyś katedra literatury słowiańskiej przez Adama Mickiewicza, została obsadzoną niedość szczęśliwie przez p. Roberta. po którym nastąpił Aleks. Chodźko; lecz i ten nie cieszy się zbytniem powodzeniem — stary to zresztą człowiek, który nie może już podołać trudnemu zadaniu. Na prelekcje jego uczęszcza garstka Polaków płci obojej. Publiczność w ciągłem przewidywaniu, że sz. profesor katedrę opuści, chce widzieć w zastępstwie jego p Duchińskiego lub p Chojeckiego, umysły się jakoś więcej za pierwszym skłaniają, lecz drugi lepiej jest położony u rządu: zostawmy to czasowi, niechaj on rozstrzyga.

Drugim jest Ludwik Wołowski, ogromne powodzenie mający, otoczony sławą głęboko uczonego i zdolnego człowieka. Wykłada on ekonomję polityczną, w r. b. ustawodawstwo przemysłowe *(législation industrielle)* w *Conservatoir des Arts et métiers*, prelekcje jego ściągają tłumy słuchaczy, sala ogromnych rozmiarów zawsze napełniona. Wołowski ma wielkie zachowanie we wszystkich sferach we Francji, pisma jego są rozchwytywane.

Przed kilku tygodniami już w r. b. Dr. Ksawery Gałęzowski, były uczeń petersburgskiego uniwersytetu rozpoczął kurs okulistyki i otworzył klinikę okulistyczną.

Oprócz powyższych posiadamy jeszcze niemało zdolnych ludzi, którzy jak mogą tak starają się zużytkować swe zdolności na pożytek publiczny, wszelako w Paryżu nie jest to tak łatwem. Szkoła wyższa polska na Montparnasie posiada kilka głośniejszych imion, do r. 1865 Franciszek Duchiński wykładał tam dzieje polskie, nie wiemy co go spowodowało do opuszczenia tego skromnego stanowiska w chwili właśnie, kiedy liczba uczniów o kilka razy się powiększyła i kiedy do szkoły weszli ludzie więcej uzdolnieni do zrozumienia jego częstokroć głębokich poglądów na dzieje naszej przeszłości. Miewał on od czasu do czasu publiczne prelekcje, chciał takowe i w r. z. urządzić, ale nie otrzymał zezwolenia rządowego. Miejsce jego w szkole Montparnasse szczęśliwie zastąpione przez gorliwego badacza p. Aleksandrowicza, który zresztą nie dał się jeszcze poznać szerszej publiczności; śliczna mowa jego miana 22 stycznia b. r. w Towarzystwie literacko-naukowem oparta na dokładnej znajomości dziejów narodowych wyjdzie wkrótce z druku.

Edward Siwiński wykłada w tejże szkole historję literatury polskiej; jaka to nieodżałowana szkoda, że tylko niewielka garstka młodzieży może korzystać z pięknych jego wykładów, wzbronione niedawno publiczne odczyty ściągały znacznie większą liczbę słuchaczy, chociaż i tu szczupłość pomieszczenia stawała na przeszkodzie zbierania się większej liczbie i prelegent zmuszony był po dwakroć powtarzać swoje odczyty.

Te tylko dwa przedmioty mają bezpośredni związek z Polską, gdyż szkoła Montparnasse jest przygotowawczą do szkół inżynierskich, wszystkie więc inne przedmioty są czysto matematyczne. I tu jednak musimy zapisać imię pana Niewęgłowskiego jako znakomitości w tym rodzaju nauk, gieometrja jego zapewne nie znalazła równie dokładnej w polskim języku, szkoda tylko, że nie potrafiono jej ocenić i nie jest tak rozpowszechnioną jak na to zasługuje; arytmetyka po kilkoletnim oczekiwaniu nakładcy ma się dopiero teraz okazać z druku; ale bo też nauki matematyczne u nas są bardzo zaniedbane.

Ileż by to jeszcze imion przybyło do tego spisu, gdybyśmy mieli wolność zgromadzania się liczniej, lecz prawo jest nieubłagane, a dozwala ono tylko 19 osobom zgromadzać się razem i to nie po to, aby na nich odczyty mogły się odbywać.

Szkoła polska na Batiniolach (gimnazjum) w b. r szkolnym znacznie się przeobraziła i wezwala kilku młodych a zdolnych ludzi na profesorów, z dawnych na szczególną uwagę zasługuje prof. historji i literatury polskiej Bieliński.

Przegląd naukowy, literacki i artystyczny.

— Kornel Ujejski pracuje nad dramatem 4 aktowym pod t. „Samson“. Wyjątki z tego dramatu, drukowane jeszcze w r. 1850 w Tygodniku Lwowskim podobnie jak odczytany niedawno w poufnym kołku znawców akt I zapowiadają jedną z najznakomitszych może prac tego poety.

— Na teatrze warszawskim przedstawioną będzie wkrótce nowa komedja pięcioaktowa Stanisława Bogusławskiego pod t. „Złoty młodzieniec“. Równocześnie wyjdzie ona z druku nakładem S Orgelbranda, i stanowić będzie tom 4ty zbioru komedyj tego pisarza

— Biblioteki Warszawskiej zeszyt czwarty (na rok 1866) zawiera rozprawę Romualda Hubego pod n. „Kodex cywilny włoski“; Ludwika Buszarda studjum krytyczne: Gieniusz Grecji i tegocześni malarze francuzcy: David, Ingres, Hipolit Flandrin, Eugeniusz Dalacroix; Marji Ilnickiej przekład Pieśni Ossjana; Kronikę paryzką literacką, naukową i artystyczną; Kronikę literacką, a w niej L. Huberta rozbiór S. J. Steckiego Wołynia i Ig. B. rozbior Wykładu Gieografji Powszechnej, podług zasad Karola Rittera ułożonego do użytku szkolnego na wzór Wilh. Pütza i Teod. Schachta przez Adama Wiślickiego; Wiadomości literackie i Dostrzeżenia meteorologiczne za miesiąc luty b. r.

— Otrzymaliśmy zeszyt V „Oświaty“ pisma poświęconego domowemu i szkolnemu wychowaniu wydawanego nakładem Dr. L. Rzepeckiego w Poznaniu. Zeszyt ten zawiera ciąg dalszy rozprawy pod n. „Nasza pisownia“, mianowicie § 4. o spółgłosce *j* w którymto paragrafie autor przemawia silnie za wprowadzeniem w powszechne używanie zgłoski *ji* na sposób Psałterza Małgorzaty, Lelewela, Żochowskiego i innych, tam gdzie my używamy albo samego *i*, albo tylko *j*. Wniosek swój popiera autor gruntownym, uczonym wywodem. Artykuł „Wielkanoc“ X. S. Tomickiego wyjaśnia historycznie i teologicznie, w popularny sposób, początek i znaczenie obrzędów i zwyczajów z tem świętem połączonych jako to: Rezurekcji, Asperzji (pokropienia ludu) Mszy św. wielkanocnej, Uroczystości wielkanocnej, Oktawy, Święconego, Poniedziałku wielkanocnego, Dyngusu czyli Śmigusu, Kogutka i Gajika, Traczyka, Przewodnicy, nareszcie niedziel po W. Nocy. Pod n „Jak to u naszych pobratymców“ zawierają się wiadomości, poparte statystycznemi danemi, o stanie oświaty, zwłaszcza „szkolnictwa“ w Czechach, na Morawie, Słowaczczyźnie i między węgierskimi „Rusniakami.“. Dalej zawiera ten zeszyt rozprawki Karola Kozłowskiego: Jakim sposobem szkoła może i powinna starać się o zdrowie młodzieży (dokończenie); L. W. Jak ułożyć plan godzin naukowych w szkole elementarnej o jednym nauczycielu; S. g. Kilka słów o potrzebie szkół niedzielnych i powiastkę autora „Szkaplerza“: Obraz wychowania domowego pod n. „Ofiara ślepej miłości rodzicielskiej.“ Wiersz F. Sibilskiego: Pociecha; korespondencje od Miłosławia, z pod Czempinia, z Bukowskiego, z Jaraczewa, z Krobskiego, z Wyrzyskiego, z Cieszyńskiego; O katolickim przyjacielu polskich dzieci, piśmie wychodzącem w Pelplinie sześciotygodniowem, zalecającem się między innemi taniością (kosztuje rocznie 21 srebrników pr. czyli 1 zł. 2 ct. w. a.). Kilka słów tyczących się hodowania pszczół, A. Kremera w Środzie: Odpowiedź na zapytanie: „Kiedy i jak najłatwiej wybiera się miód z koszek?“ Dalszy ciąg składek w myśl odezwy komitetu byłych stypendjatów Towarzystwa naukowej pomocy (ogłoszenie Komitetu); w końcu wiadomość o nowych książkach i o wyższym zakładzie naukowym i pensjonacie pani A. Estkowskiej.

— Pierwszy numer (z 1. kwietnia b. r.) pisma „Przyszłość“ wychodzącego w Paryżu (dwa razy na miesiąc, pren. roczna 12 franków, adres redakcji: Mr. Konstanty Henszel, rue Vavin, 4, à Paris) zawiera na czele p. n. Nasze Zadanie, rozwinięcie programu „Przyszłości“ p. J. Tokarzewicza, w którem autor wskazuje jako na „najgłówniejszą i najodpowiedniejszą dla młodzieży (polskiej) pracę w obecnej chwili: rozjaśnienie kwestji wychowania publicznego i zebranie choć surowego materjału do zbudowania narodowej szkoły polskiej, pamiętając, że szkoła to świątynia przyszłości“ Dalej znajdujemy artykuł Zygmunta Bużańca: Hipotezy (kartki z filozofji naturalnej) oparty na zasadach Augusta Comte; korespondencje: z Paryża A. D. Bartoszewicza, z Warszawy F. K., z Münster A. W. i Rozmaitości.

— „Gazety Przemysłowej“ nr. 6. z 7 kwietnia b. r. zamieszcza następujące artykuły: Jedwabnik dębowy (Bombyx vel Saturnia Pemyi) z dwiema rycinami; Lokomobil, z ryciną i podaniem cen; Siewnik Albana, z ryc. i podaniem ceny. W dziale Rozmaitości znajdujemy wiadomość o szkole dla piwowarów w Wormacji (Worms), dalej art. Wielki wpływ wody na tworzenie się mleka; Poprawka u konewek do podlewania, z ryc.; Spis artykułów na Wschodzie teraz pokup mających; Przechowanie ziemniaków; Latarki bezpieczeństwa, z ryc.; Wyciski rzepakowe jako pożywienie pszczół; Chodowanie chmielu; Spis środków tajemniczych które zakazano sprzedawać w Hannowerze; rycina i opis Naddatku do zwyczajnego komina z fabr. Winniwartera w Wiedniu, z podaniem ceny; nareszcie pytanie: Jakie przedsiębiorstwa przemysłowe mogą być odpowiednie i korzystne dla posiadaczy większych dóbr ziemskich w naszym kraju?

— Otrzymujemy właśnie „Dzieła dramatyczne Szekspira“ tom I. (str. 400): Sen nocy letniej, Król Lyr i Dwaj panowie z Werony, przekład Stanisława Koźmiana, nakład J. K. Żupańskiego. Rozbiór podamy później, na teraz nadmieniamy, że publikacja ta zaleca się powabną powierzchownością.

— Zasłużony antykwarjusz i księgarz Zelman Igel rozpoczął druk drugiego poprawnego wydania nader rzadkiego a dla dziejów unji cerkwi wschodniej z kościołem zachodnim nader ważnego dzieła ks. Ignacego Stebelskiego pod tytułem „Dwa wielkie światła na horyzoncie połockim, czyli żywoty św. panien i matek Eufrozyny i Parascewii“ w Wilnie 1781 po raz pierwszy wydanego. Dzieło Stebelskiego zawiera cenne bardzo zapiski bibliograficzne ksiąg i autorów ważnych dla dziejów Rusi, oraz co do samej swej treści zawiera szczegóły historyczne odnoszące się do spraw kościelnych na Rusi, zwłaszcza zaś fakta dotyczące unji jakich gdzie indziej nie znajdzie. Wydanie to zaleca się prócz tego taniością (3 zł. w. a. za trzy tomy).

Teatr polski. W środę (11go) przedstawiono po raz pierwszy tłumaczoną z niemieckiego operetkę „Dziesięć cór na wydaniu“ (Zehn Mädchen und kein Mann). Autorem muzyki jest Suppe, Niemiec, autorem libretta a mianowicie śpiewów ma być wiedeński dyrektor teatru Karol Treumann. W operetkach tego rodzaju rywalizuje Suppe z Offenbachem. Offenbach wyczerpnął się już, a utwory jego ostatnie jakkolwiek wyższe pod względem techniki kompozycyjnej, subtelności w cieniowaniu kolorytu, mistrzowstwa w instrumentowaniu, nie mają tyle życia i świeżości, takiej obfitości oryginalnych melodyj, co Suppego „Junaki, Galatea“.

Środowa operetka powiodła się wybornie, a biorąc na uwagę siły muzykalne personażu, nad wszelkie spodziewanie. Chóry wyćwiczone jak najstaranniej. Główna zasługa przynależy tu znakomicie uzdolnionemu kapelmistrzowi teatru p. Hessely. Z partycyj solowych była najsłabszą p. Nowakowskiego. Pan Nowakowski nie ma głosu; radzimy mu dla tego aby, jeżeli już koniecznie śpiewać musi, więcej recytował i nie silił się, mianowicie w wyższych tonach. Publiczność nie straci nic na tem — a pan Nowakowski nie będzie nadwerężał swego organu. Z roli zaś samej (baron le Cocq) wywiązał się p. N. z wielkiem powodzeniem, ucharakteryzował się dowcipnie, grał z wielkim humorem. W farsach mianowicie niemieckich, które nie mają głębszej wartości i odpowiadają przeznaczeniu swemu, jeżli są tylko dowcipne i utrzymać potrafią widza w ciągłym śmiechu, okupując go czasem i trywialnością — jest p. Nowakowski nieoceniony. P. N. przesadza zwykle, w innych sztukach razi to; w farsach zaś, gdzie ma tak szerokie pole do popisu, gdzie trefnisiostwa jego nie tamują granice, które nazywamy estetycznemi, w wysokim stopniu zająć może publiczność. Lecz i tu jest miara, są granice dowcipu; p. N. przekroczył je kilka razy bardzo niezręcznie.

Z partycyj kobiecych podnieść musimy spiew p. Morskiej. W roli samej nie miała p. M. pola do popisu, prowadziła chór; dla zprezentowania się lepszego publiczności odśpiewała za to Arditego „Il baccio.“ P. M. jest rutynowaną śpiewaczką operzystką z zawodu, którą już przed kilku laty mieliśmy przyjemność poznać w tutejszej operze niemieckiej. „Il baccio“ odśpiewała z pewnością, lekkością — posiada dobre zadęcie głosu a ztąd pewną i biegłą koloraturę. Gdyby „Il baccio“ na tak niski ton nie było transponowane, zyskałby głos p. M. i na dźwięku i na świeżości. Jak się dowiadujemy przyjęła p. Morska na scenie naszej stały angażament Byłoby to z korzyścią dla publiczności, która od czasu odejścia p. Wygrzywalskiej z sceny naszej z niektóremi sztukami pożegnać się musiała. jak równie i dyrekcji, która na operetkach dotychczas najlepiej wychodziła.

Większa i prawdziwie solowa partycja (Sidonji) dostała się p. Baranowskiej. Głos p. B. dźwięczny i miły jakkolwiek małej dimenzji, umiejętnie użyty przez kapelmistrza, jest do operetek bardzo przydatny. I gra zwykle już słabsza strona p. B, była tą razą ze wszech miar zadawalniająca. P. Baranowskiej radzilibyśmy obznajmienia się więcej z tem, co nazywają na świecie „szkołą“.

Równie w większej roli Parysa wystąpił i p. Wojnowski. Pomału przezwycięża p. W. lękliwą nieporadność zwykłą u początkujących. Roli Parysa wymagającej wiele swobody i lekkości nie mógł wprawdzie jeszcze podołać wynagrodził ale to swym śpiewem, który przy głosie tak pięknym, intonacji czystej i pewnej już biegłości jest niestety rzadkiem na scenie naszej zjawiskiem. Na jedną okoliczność zwracamy uwagę p. Wojnowskiego na ów steoretypowy spokój maski. Wydatne i ujmujące rysy twarzy p. W. byłyby u drugiego artysty bogactwem niewyczerpanem. W większych rolach dramatycznych wymaga ta rzecz zapewne głębszych studjów i rutyny. W roli Parysa atoli wydaje nam się brak życia w masce trudniejszym i mniej naturalnym jak poddanie się swobodne roli.

Resztę rol odegrano z prawdziwym humorem, kostiumy były gustowne a cała produkcja udowodniła wielką staranność ze strony dyrekcji.

Zamykając sprawozdanie nasze pozwolamy sobie zwrócić uwagę dyrekcji na okoliczność, która na wrażenie, jakie całość produkcji sprawiła, dość niekorzystnie wpłynęła. Jest to jej niestosowna rozwlekłość. I najlepsze dowcipy jeźli są jednostajne znużą nareszcie publiczność. Cóż dopiero kuplety, które się niczem nie zalecają, a przypominają poniekąd na produkcje komedjantów.

Ż.

Z dzisiejszym numerem rozsyłamy listy zwrotne.

Wydawca i odpow. redaktor **Bronisław Zamorski.** Główny współpracownik **Karol Widman.** Z drukarni E. Winiarza.